

na zamówienie

Eugenia Herman

— Jest Pani profesorem w łódzkiej szkole filmowej, pracuje także z młodzieżą w ognisku teatralnym przy warszawskim Teatrze Ochoty. Czy w ogóle warto być dziś w Polsce aktorem?

— Należałoby właściwie mówić o tym nie w granicach wartości. Rzeczywiście, zawód ten niesie w tej chwili same rozczarowania. Lecz zadziwiające jest to, że we wszystkich naszych czterech szkołach aktorskich było tego roku po kilkuset kandydatów.

— A ile było miejsc?

— Do szkoły łódzkiej starało się ponad trzysta osób, a miejsc było piętnaście. Przyjęliśmy 9 dziewcząt i 6 chłopców, w tym dwu z pewnymi zastrzeżeniami. Dziewczyny chętniej zostają aktorkami. Z chłopcami jest kłopot.

— Dlaczego? Przecież sztuka aktorska potrzebuje więcej mężczyzn niż kobiet, prawda?

— Oczywiście. Proszę wziąć choćby dramaty Szekspira: na dziesięć dobrych ról męskich przypadają w nich dwie role kobiece. W każdej sztuce jest przewaga mężczyzn.

— Co więc powoduje, że dziewczęta bardziej garną się do zawodu aktorskiego?

— Na pewno potrzeba podobać się, może i próżność, a także chęć zaistnienia. Mężczyźni patrzą na życie bardziej praktycznie. Aktorstwo wiąże się przecież z tępym szczęściem. Ileż to zdolnych, młodych ludzi, którzy w dyplomowym przedstawieniu grają Ryszarda III, ginie bez śladu, bo nie ma dla nich miejsca w teatrze. I tak już teraz będzie.

— Którymi ze swoich wychowanków może się Pani poszczycić?

— Szkoła w Łodzi ma ostatnio bardzo dobry okres. Naszymi absolwentami są: Zbigniew Zamachowski, Wojciech Malajkat, Piotr Polk, Cezary Pazura. To byli bardzo pracowici chłopcy. Zdumiewające, jak wiele mogliśmy zrobić w czasie jednego choćby semestru.

— Niedawno zaprezentowała Pani „Króla Leara” w swojej reży-



serii, w wykonaniu młodzieży aktorskiej. I to gdzie... w Anglii. Jak ten spektakl przyjęli Anglicy?

— Byli zachwyceni. Zrobiłam taką specjalną adaptację, w której wszystko miało być prawdziwe, a nie grane i udawane. Aktorzy wystąpili w dzinsach, byli sobą. Wiem, że była w tym jakaś nasza

odwaga. Jechać z Szekspirem do Anglii to nie jest prosta decyzja. Ale muszę powiedzieć, że ostatnio ciągle walczę z Szekspirem. W ubiegłym roku wystawiałam w szkole „Sen nocy letniej”, a potem „Dwu paniczów z Werony”. Obecnie w Teatrze Ochoty znowu przygotowujemy „Sen nocy letniej”. Ta

praca jest jedną z radości mego życia.

— Praca reżyserska jakoś chyba nagle do Pani przysła...

— Może nie nagle. Przez kilka lat mieszkałam w Holandii, gdzie, dla zabicia czasu, recytowałam wiersze podczas różnych uroczystości w naszej ambasadzie. Ale wkrótce mi to już nie wystarczyło. Zaczęłam uczyć aktorstwa na uniwersytecie w Amsterdamie. Uczylałam metody Stanisławskiego aktorów holenderskich, którzy zajmowali się aktorstwem po pracy zarobkowej, na przykład w porcie, gdzie dobrze się zarabia wyładowując statki, albo jako kelnerzy w restauracjach. W ten sposób wykrystalizowały się moje umiejętności pedagogiczne. Po powrocie do kraju Jan Machulski, dziekan w szkole łódzkiej, zaproponował mi tam pracę.

— Dodam do tego, że ma Pani także talenty językowe, które bardzo ułatwiają Pani pracę w Holandii. A jak Pani sama trafiła do aktorstwa?

— Tak jak każda dziewczyna, która marzy o tym, aby zostać aktorką. Chociaż ze mną sprawa nie była łatwa. Byłam za wysoka i do tego miałam różne kompleksy. Myślałam nawet, aby studiować reżyserię, ale w końcu poszłam na aktorstwo. Ostatecznie moje marzenie się więc spełniło.

— Dzisiaj te Pani warunki fizyczne, kiedyś tak niby kłopotliwe, są przecież Pani atutem: charakterystyczny głos, sylwetka...

— Jeszcze na studiach grałam rzeczywiście role kobiet znacznie ode mnie starszych: Lady Milford w „Intrydze i miłości”, Ruth w „Niemcach”. Po ukończeniu studiów na siedem lat związałam się z teatrem Kazimierza Dejmka w Łodzi, moim mieście rodzinnym. Przeniosłam się potem ze względu na rodzinnych do Warszawy i w tej chwili znowu pracuję z Dejkiem w Teatrze Polskim. W latach 60. zagrałam właściwie wszystkie dramatyczne role matek, na czele z Rollisonową w „Dziadach”.

— Dobrze się Pani czuje w tych rolach, do których wydaje się być Pani predystynowana?

— Chyba tak. Proszę sobie wyobrazić, że tylko dwa razy w życiu grałam role dziewcząt: Helenę w

„Moście” Szaniawskiego i Izabelę w „Miarce za miarkę” Szekspira.

— A co w tej chwili Pani przygotowuje?

— Gram panią Pernelle w „Świętoszku” w Teatrze Kameralnym, mam próby do roli księżnej Yorku w „Ryszardzie III”, którego reżyseruje Maciej Prus. Romuald Szejd przygotowuje dla telewizji „Lysą śpiewaczkę”, w której gram rolę służącej, która jest jedyną damą w całym towarzystwie. Tak więc nie narzekam na brak pracy.

— Prawdziwą popularność dała Pani roli matki w „Labiryncie”...

— Telewizja jest nieprawdopodobną siłą popularyzatorską. Sporó dla telewizji zrobiłam u Tomasz Zygadły, a ostatnio występuję w fińsko-polsko-niemieckim serialu młodzieżowym w reżyserii J. Dymka.

— Widać, że reżyserzy kupują te Pani warunki aktorskie, bo mało jest aktorek takich jak Pani...

— Przyznam się, że dosyć późno zrozumiałam, że należy być sobą, nie martwić się dużym nosem, niskim głosem i 175 cm wzrostu.

— W „Labiryncie” była Pani właściwie sobą...

— Tak. Sprzedawałam siebie, swoje reakcje i nie musiałam nikogo udawać. Z odcinka na odcinek praca w nim stawała się bardziej osobista. Głosy widzów to potwierdzały. Przyjmowano wszystko jako życiową prawdę. Minęły już dziś czasy udawania.

— Szkoda, że serial się skończył...

— Bardzo szkoda. Ale są podobno widoki na jego wznowienie. Głównym problemem są oczywiście pieniądze.

— Ma Pani jakieś nie spełnione marzenie?

— Chyba dzisiaj jestem już za dorosła na marzenia zawodowe.

— Pani marzenia mogłyby dotyczyć tylko spraw zawodowych?

— Wyłącznie.

— Dziękuję Pani za rozmowę.

Rozmawiał
KAZIMIERZ SOBOLEWSKI